

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11. tel. 240-15.

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kw. rb. 1. mies. 35 k z dodat. rocz. 6.40, półrocz. 3.20, kw. 1.60 mies. 60k. Za odnie dopłaca się 10 kop. kwartalnie. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. mies. 45 k.

Z dodat. rocz. 7.40, półrocz. 3.70, kwart. 1.80. Za granicą: w Austrii 14 kor., z dodat. 21 kor. rocz. W Niemczech 12 m. z dodat. 19 m. rocz.

WARUNKI OGŁOSZEŃ:

2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20
w tekście nadesłane " " " 50

Prenumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskiej Przedmieście 64 w Warszawie księgarnia „Polaka - Katolika“.

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne“ za kwartał I i II.

TREŚĆ NUMERU:

Okręt powietrzny (z 1 ilustr.). — Ciemnosmreczyński las, przez Kazimierza Przerwę Tetmajera. — „Amerykanka“. — Nigdy, przez Z. Morawską. — Nad złotym rogiem (z 1 ilustr.). — Tajemniczy samolot, przez Kap. Brerton. — Jak się mierzy gwiazdy. — Konstantynów (z 2 ilustr.). — Gry sportowe na powietrzu. — Przebojem, przez Józefa Ciembroniewicza. — Skrzynka do listów. — DÓDATEK DLA DZIECI: Podróż. — Módlcie się dzieci! przez Marję Poraską. — Anielka. — Na stawie, przez M. P. — Opowiadanie motylka.



STRAJKI.

Z powodu trwającego od kilku tygodni bezrobocia w Tow. akcyjnym Szajblera w Łodzi, zamknięto dn. 27 b. m., wszystkie zakłady tegoż Towarzystwa na czas nieograczony. W fabrykach zostały wywieszane ogłoszenia usprawiedliwiające odmową co do podwyższenia płacy różnymi względami, mianowicie: konkurencją fabrykantów moskiewskich i brakiem zamówień nowych. Wobec tego, administracja nie zgadzi się na żadne podwyżki. Ponieważ w innych, mniejszych przedsiębiorstwach i tkalniach pracownicy żądali również większego wynagrodzenia, przerwano roboty z początku na dwa tygodnie, a później bezterminowo. Przemysł bawełniany łódzki ma nagromadzone w swoich składach znaczne ilości towarów i może utrzymać dość długo t. zw. lokaut, poniosą zatem klęskę tylko klasy najuboższe, których los i dawniej bardzo był ciężki. Ogółem wzięwszy strajkuje przeszło 20,00 ludzi; czyż to nie przerażająca cyfra jak na jedno miasto? A między ludnością przeważającą część obcoplemieńców. Na Zachodzie Europy, w Ameryce, stowarzyszenia robotnicze przygotowują przed takim wypadkiem znaczne fundusze, aby nimi zasilali rodziny pozbawionych zarobku i prowadzą układy, kończące się zazwyczaj prędkim porozumieniem. U nas, niestety, jest inaczej, nieopatrzni najwięcej tracą.

Z LOTNICTWA.

Młody, kubański lotnik Rosillo wyruszył w ubiegłym tygodniu z Keywest (Ameryka) i przebywszy 160-kilometrową cieśninę morską, która przedziela

Florydę od Kuby, wylądował w Hawannie. Podróż trwała godzinę i 52 minut; Rosillo zatem pędził z szybkością 100 kilom. na godzinę, zdobywszy nagrodę 10,000 dolarów, ofiarowaną przez miasto Hawanna, stolicę Kuby. Jednocześnie z tem inny areonauta zamierzył osiągnąć ten sam cel, tą samą drogą, ale na hydroplanie; nieodpowiednia jednak pogoda zniweczyła śmiałe plany. Przyjaciele przemocą wstrzymali lotnika, który ten przykry dlań zawód chciał opłacić życiem. Na domiar złego, aresztowano biedaka, gdyż w Ameryce surowe są kary za usiłowanie samobójstwa.

Na lotnisku w Gątczynie dokonano prób telegrafowania bez drutu z areoplanu. Kapitan Rudniew, z odległości 30 wiorst za Gątczyną przesłał telegram, złożony ze 150 wyrazów, do aparatu odbiorczego, systemu francuskiego Roussé, który znajdował się na polu Wołkowem w Petersburgu. Wszystkie wyrazy otrzymano jaknajdokładniej; samolot „Farmana“ zawisł przez tę chwilę spokojnie w powietrzu, pod znaczną wysokością.

MAŁOLETNI PRZESTĘPCY.

Obowiązkiem kronikarskim jest podawać czytelnikom wszelkie przejawy życia, wszelkie wydarzenia większej wagi, tak pocieszające jak i smutne. Do tych ostatnich należy pożar w Modrzejowie, pod Sosnowcem, którego sprawcą była banda siedmiu chłopców; herszt jej liczy zaledwie lat jedenaście, a najstarszy z podpalaczy skończył rok piętynasty. Właściciel jednego ze zgorzałych domów schwycił na gorącym uczynku malca w chwili, gdy skropiłszy kłatkę scho-

dową naftą, zapalał lont mający ogień wywołać. Na wszczęty alarm zbiegli się mieszkańcy sąsiedni i ujęli kilku chłopców, ukrytych starannie pod schodami, w piwnicy i na podwórzu. Z zeznań aresztowanych dzieci dowiedziano się, że podmówił ich do tego jeden „pan“, płacąc każdemu po rublu i obiecując udział przy rabowaniu. Rabunek ten prawdopodobnie stanowił największą pokusę dla zwyrodniałej garstki małych zbrodniarzy, a innemi przyczynami były: ciemnota, dzikość obyczajów, brak opieki rodzicielskiej. Odtrącone od społeczeństwa nieszczęśliwe wyrzutki, bez światła i sumienia, mogłyby jeszcze powrócić na uczciwą drogę, gdyby ludzie dobrej woli, zajawszy się niemi, przez poczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, od ostatecznego upadku ochronili.

KŁĘSKI ŻYWIŁOWE.

Długotrwałe deszcze przyczyniły się w Galicji do wylewu rzek i przerwania ruchu na linjach kolejowych; zewsząd, a szczególnie z okolic Tarnopola, Złoczowa i wielu innych dochodzą wieści o podmyciu torów, zniszczeniu zasiewów i uszkodzeniu siedzib włościańskich. Dolna część miasta Kołomyi jest pod wodą; straty ogromne.

Z A P I S Y.

Zmarły niedawno w Suwałkach, obywatel tamtejszy, ś. p. Wiktor Berens cały swój znaczny majątek, wynoszący kilkadziesiąt tysięcy rubli, przeznaczył ostatnią wolą dla Tow. naukowego.

Wspaniały dar otrzymało warszawskie Tow. Lekarskie od zmarłej w ubiegłym miesiącu pani Sieragowskiej, żony znanego lekarza, która ostatnią wolą swoją przeznaczyła 50,000 rb. na rzecz tegoż Towarzystwa.

Na wystawie obrazów Chełmińskiego, jednego z wybitniejszych naszych malarzy — w Paryżu, amerykańnik Knoedler zakupił 48 prac tego artysty, przedstawiających b. wojsko polskie, dla ofiarowania całego zbioru Muzeum sztuk pięknych w Warszawie.

STYPENDJUM.

Na wydziale medycznym uniwersytetu petersburskiego ustanowiono stypendjum, imienia ś. p. Ptaszyckiego, z odsetek od kapitału złożonego przez rodzinę ofiarodawcy Związkowi lekarzy i przyrodników polskich w Petersburgu. Zapomoga ta służyć ma tylko polakowi i to narodowo uświadomionemu, na kilka lat nauki medycznej albo przyrodniczej pod warunkiem, że obdarowany sprawiać się będzie uczciwie i wzorowo pod każdym względem.

W Y S T A W A.

W miejscowości Milanówek, pod Grodziskiem, cieszącej się corocznie wielkim napływem gości na czas letni, urządzono wystawę rolniczo-przemysłową, która trwała dni cztery. Ziemiańskie i ziemianki okoliczne przedstawiały okazy swej zabiegliwej i rozumnej pracy na polu gospodarstwa i różnych gałęzi wytwórczych z niem związanych. Warszawa nietylko brała udział w Wystawie ale i w licznych widowiskach, których celem były potrzeby i niedole społeczne.

.....

Odkrycia i wynalazki.

To, co jeszcze przed paru laty było tylko powieściowym tworem fantazji pisarzy, staje się nagle, nieraz nieoczekiwanie, dziełem rzeczywistości. Gdy

Juljusz Verne pisał swój „Zamek w Karpatach“ nie śniło się jeszcze nikomu o kinematografie, gdy Wells opisywał swoją „Wojnę w powietrzu“, nie przypuszczał zapewne, że zaledwie w parę lat później istnieć już będą aeroplany pancerne i potężna flota powietrzna i że wojna w powietrzu rozegrać się już może w ciągu najbliższej przyszłości.

Ostatnim dziełem w tej dziedzinie była łódź Ch. Wirtha z Norymbergji, kierowana na odległość przy pomocy fal elektrycznych. Dokonane w roku ubiegłym próby na Vensee w Bawarji wywołały powszechne zainteresowanie, łódź bowiem była najzupełniej po słuszna wynalazcy, stojącemu na wybrzeżu jeziora i zwracającemu ją to w prawo, to w lewo, to w tył, to naprzód. Istota wynalazku była jednak na razie tajemnicą twórcy niezwyklej łodzi; w kołach fachowych przypuszczano, że rozmaite poruszenia odbywają się pod wpływem rozmaicie nastrojonych fal elektrycznych.

Niedawno wynalazca w publicznym odczycie przedstawił dokładnie konstrukcję łodzi, przyczem okazało się, że konstrukcja ta jest znacznie prostsza, aniżeli ogólnie sądzono. Fale elektryczne, wysyłane z wybrzeża, wywołują na łodzi ruch czterech elektromagnesów, te zaś poruszają cztery dźwignie, służące do sterowania łodzi. Zależnie od tego, przez który z czterech kontaktów, umieszczonych na wale aparatu, zostaje poprowadzony prąd, działa jedna z czterech dźwigni. Ponieważ elektromotor funkcjonuje tylko wtedy, gdy fale elektryczne płyną przez parę sekund przez kontakty, wywołując potrzebny ruch, a unikając innych, inżynier Wirth, jak oświadczył podczas odczytu, pracuje dalej nad udoskonaleniem swego wynalazku, dążąc również do przystosowania go do małych baloników motorowych, z pomocą których możnaby automatycznie fotografować nieprzyjacielskie twierdze lub nawet rzucać pociski do ich wnętrza. W ten sposób zarząd wojskowy mógłby osiągnąć swe cele, nie narażając życia załogi w razie zniszczenia baloniku przez kule nieprzyjacielskie. Jak wiadomo także próby z łodzią, kierowaną na odległość, mają jako ostateczny cel stworzenie nowego systemu atakowania torpedami statków nieprzyjacielskich.

O niezwykłym zgoła wynalazku doniosły w ostatnich tygodniach pisma fachowe amerykańskie. Jest to ni mniej ni więcej, jak maszyna do pisania, której się wprost dyktuje. Nie dyktofon w rodzaju tych, jakie w roku ubiegłym demonstrowano na wystawach niemieckich, a które znalazły już dość znaczne rozpowszechnienie dzięki temu, że istotnie ułatwiają pracę. Jak wiadomo, są to aparaty podobne nieco do aparatów fotograficznych; wypowiedziane do nich szybko słowa przepisuje następnie pisarz maszynowy, nastawiając aparat, powtarzający tekst na dowolną szybkość. Ale wspomniany na wstępie wynalazek jest zgoła czym innym; nie potrzeba przy nim wcale pośredników. Wymawia się słowa do mikrofonu, a połączona z nim niesłychanie skomplikowanym mechanizmem maszyna do pisania, odtwarza odrazu słowa w zwykłych, zrozumiałych dla wszystkich głoskach. Wynalazcą jest amerykańnik, nazwiskiem Flowers, który rozwiązaniu tego problemu poświęcił długie lata wyjątej pracy. I dzisiaj jeszcze nie doszedł do zupełnej doskonałości aparatu i trudności dalszego ulepszenia są bardzo duże; bądź co bądź jednak droga do rozwiązania problemu jest znaleziona. Flowers automatycznie zapisuje wymawiane wyrazy.

.....

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

Okręt powietrzny.

Zdobywanie powietrza idzie dwoma drogami. Jedni technicy starają się udoskonalić maszyny cięższe od powietrza, tak zwane aeroplany, inni znów pracują nad udoskonaleniem balonów sterowych, będących istnymi okrętami powietrznymi.

Pierwsze miejsce między nimi zajmuje niemiecki wynalazca, hr. Zeppelin który na swym statku odbywa kilkusetwiorstowe podróże.

Balon ten jestto olbrzymi cylinder bez rozczłonkowania, bez żadnych wyraźniejszych linii, długi, niby wieża ułożona na trawie. Wewnątrz znajduje się siedemnaście balonów oddzielonych od siebie ściankami. Z zewnątrz widać tylko ścianę z szarej materji bawełnianej. Nic nie zdradza, że pod ścianą w olbrzymim rozpięciu kryją się i piętrzą wprost ozdobne w swoim rodzaju wiązania aluminiowe, które wiotkiemu balonowi nadają siłę i odporność. Olbrzymia belka z aluminium podobna do srebrnej plecionki kryje się pod bezbarwnym materiałem, potężna, przeszło stumetrowej długości sztaba, niby tram okrętowy prująca chmury i powietrze.

Ta sztaba jest równocześnie chodnikiem szerokości jednej stopy. Z gondoli prowadzi połyskująca srebrzyście drabinka, która znika w jednym z fałdów materiału. Tędy wchodzi się do wnętrza tunelu i idzie się po tym wązkim chodniku, jakby kurytarzem wśród materialnych ścian, prowadzących do wielkiej kabiny pasażerskiej, będącej w środku balonu. Jestto pokoik w rodzaju coupé, utrzymany w delikarnym zielonym tonie, elegancki z wielkimi oknami. Zdaje się jakby kolumny aluminiowe podtrzymywały sufit, w rzeczywistości zaś z sufitu na tych kolumnach zwisa podłoga. Obok kabiny pasażerskiej znajdują się małe kabinki,

przeznaczone na garderobę i inne cele, przedewszystkiem zaś na coś w rodzaju skromnego bufetu.

Tuż u końców balonu widać aluminiowe gondole, kształtu łodzi. Gondole, opatrzone są bryłową podstawą, którą stają na ziemi podczas lądowania. W każdej gondoli jest motor. Trzeba słyszeć co się dzieje, gdy motor wprawia się w ruch! Dudnienie kopyt stu osiemdziesięciu tak samo silnych żywych koni jest dziecinny gwarem wobec tego hałasu. Jest to niby grzmot. Cały budynek zaczyna drżeć i dygotać, z rur wydmuchowych wraz z płomieniami wydobywa się wycie, któreby mogło zagłuszyć gwizd dwudziestu syren fabrycznych. Ma się wrażenie, jakby się było w samym centrum orkanu. Strzały, grzmoty, pioruny następują szybko po sobie, jakgdyby ten gmach cały miał wylecieć w powietrze. W chwilę później, wysoko po obu stronach gondoli rozpoczynają śmigi swój szalony ruch.

Wiatr szarpie balonem. Żołnierze oddziału balonowego trzymają po obu stronach liny, kierują statek dziobem w stronę wiatru. Balon przodem ściągnięty ku ziemi wierzga i rzuca tyłem. Równocześnie kontroluje się aparaty i wyjmuje barograf, który zanotował wysokość, na jakiej się balon znajdował. W gondolach spostrzegamy czarne i czerwone chwyty, prowadzące do worków balastowych i wentylów, prócz tego znajdują się tam istne warsztaty, będące w związku z maszyną i przyrządy.

Na uwagę zasługuje, że kotwicy przy Zeppelinowskich statkach powietrznych używa się tylko tam, gdzie brak ramion ludzkich, potrzebnych do wylądowania. Jest to widać siła elastyczniejsza, lepiej się poddająca i stosująca do ruchów i potrzeb balonu.



Śrubowiec napowietrzny „Zeppelin“.

Ciemnosmreczyński las.

To jest mój najpiękniejszy sen...

Tam, w pustce, ciemnych jezior głąb,
Ciemnosmreczyński szumi las.
skał głuchych nad wodami zrab
uśpiony wiekuisty Czas...

Od ciemnych smreczyn idzie szum
z niskiej doliny, z starych drzew,
i skał straszliwych cichy rum
owija w kołyszący śpiew...

Tam gdzieś spoczęło ciało me
w domku z granitu wytchnąć raz...
Kolebę mi tam zbudowali,
której cios żaden nie rozwali
i to jest dom mój, własny, mój!

Ciemnosmreczyński szumi las.
o lesie! lesie! lesie mój!...

W cichą, miesięczną, jasną noc,
gdy lotnych, ledwo widnych chmur,
srebrni się w głębi nieba rój,
wysoko kędyś, w bezdni, hen:
tam, pod skał osrebrzony mur,
patrzac się w czarny w dole staw,
wśród szeleszczących z wiatrem traw,
duch mój spoczywa, patrzy się...

To jest mój najpiękniejszy sen.

Muzyka, gęśle grają mi —
Jedna z tych starych, dawnych nut
w jesiennej usłyszana mgle,
we watry zadzwoniona błysku,
zakołysana w głuszy grot,
jedna z tych starych, dawnych nut,
starym się bacom śniąca w śnisku,
przychodzi mi w pustyni grać...

Już my nie rzucim w echo śpiewki,
od której lecą ze skał skry.

Hej! stary baco! minął świat,
kajsi tak wszystko gna jak mgły...

Grajże mi, graj, ty wędrujący
powietrzem grajku w noc miesięczną...
Kędyś jest? Czy cię cicho wiozą
mgły srebrne, tak, jak na wesele?
Czy cię wiatr niesie górą rwący,
jak pióro z orła, co szeleści,
lub jak bukową gałąź dźwięczną?
Czyliś przy jakim archaniele
kęsi siadł w turniach, jak w kościele,

i pod olbrzymich skrzydeł grozą,
zamierzchłe brzęczysz mu powieści?

Ciemnosmreczyński stary las!
las ukochany, o las mój!
Tam rzeka, tocząc się przez głąz
jęczy i wyje i zawodzi,
tam śpiewająca Cisza chodzi
samotna, piękna pośród drzew;
w deszczowy szklany patrzy zdroj,
strąca z konarów zwiste mchy,
i wielkie złote pajęczyny,
tam żółte kwiaty z śród wikliny,
patrzą, jak zadumane oczy,
tam senna paproć w gąszczu drzy,
rudych się szczawiów chwieje krzew
i z ciemnych smreków, jako krew,
świeci czerwony krzak maliny.

O niewidzialny grajku, graj,
graj starodawną nutę Tatr,
co się nocami jeszcze włóczy,
po pustkach opuszczonych hal
i starym bacom w uchu dzwoni,
gdy śpią przy smolnym dymie z watr,
i śni im się, że znowu w dłoni
śmiga im ciupag twarda stal...

Graj, co nie wróci nigdy już...

Ciemnosmreczyński stary borze:
tam, ponad tobą jest mój dom.
Tam, we chmur utopiona morze,
w odmęt jesiennych, wietrznych burz:
dusza się moja pnie pod złom,
dusza się moja w żlebach kryje,
po stromych zboczach urwisk pełza,
po ślizgich, strasznych turniach kielza
i patrzy w przepaść, w otchłań, w dół,
w ciche głębiny czarnych wód...

Jesienny, mroźny wicher wyje,
jedna z tych starych, dawnych nut
płynie powietrzem z wichrem współ,
płynie, skrzydłami o las bije...

To jest mej duszy krewny śpiew,
pieśń z potraconych w pustkach drzew,
z wierchowców, co się w chmury strzępią,
z czarnych, głębokich, zimnych wód —
pieśń piersią wyśpiewana sępią,
bezdennej samotności śpiew...

Ciemnosmreczyński stary lesie,
już cię śniegowy obległ szron:
szumże z zawieją, kołysze się
jak wielki, dźwięczny, srebrny dzwon.

Kazimierz Przerwa Tetmajer.

„Amerykanka“

• OBRAZEK SCENICZNY.

FRANEK (*przysuwa się do Anulki i pyta*). Pannienko, a kto to ta panna?

ANULKA. Panna Krysta, amerykanka.

FRANEK. Jamerykanka? zamorskie stras...

STEFA (*groźnie*). Cicho mi bądź! słyszysz?

FRANEK (*spokojnie*). Bez co mam być cicho, kiej widzę dokumentnie, co ciotka zełgali.

KULINA. A ty pokrako! Będiesz ty mi na ciotkę rodzoną wydziwiał?!

FRANEK. A bez coście pannę jamerykankę tak paskudnie przezywali, kiej panna jamerykanka niby jamiołek, co we wielgim ołtarzu przy Wniebowzięciu, Pannie Najświętszej się raduje.

KRYSTA (*wesoło*). Tak ci się podobałam?

FRANEK (*twierdząco*). No-o, dyć prawda. (*podchodzi do Krysty, bierze jej rękę, chce pocałować; nagle spogląda na Stefę, rękę Krysty puszcza i kłania się jeszcze dziwniej niż zwykle*).

KULINA (*zła*). Franek! pudź mi tu zaraz! (*do Stefy*) Jakoś widzimi się, że ono mądre uczenie, to nie na Frankowy łeb. Wi, panna Funia, co ten szelma chłopiec dzisiaj gadał? A to prawil na całe podwórze, co Pan Jezus naszej polskiej mowy nie znał, w polskim kraju za ziemskiego swego żywota nie bywał i stacji w Kalwarji z narodem nie obchodził! No, słychane to rzeczy! Oj, spralabym świecie boski, spralabym psawiare, żeby nie ono sieroctwo.

KRYSTA (*natrzy badawczo na Kulinę i pilnie bez śmiechu słucha*).

ANULKA (*przypatruje się Kryście*).

STEFA (*pokornie*). Dobrze Kulisiu, będę Franka uczyła inaczej, po dawnemu; przygotuję go do 1-go oddziału i od jesieni pójdzie do szkoły.

KULINA (*udobruchana*). No, to co inszego.

STEFA. A teraz, Kulisiu, musimy żwawo się za-krzątnąć około przygotowania pokoju i wieszery dla naszego gościa (*obejmuje Krystę lekko w pól i mówi miękko*) Jeszcze raz dziękuję ci Krzysiu, za wielką niespodziankę, dziękuję i przepraszam całą duszą.

KRYSTA (*zdziwiona*). Przepraszasz, my dear, całą duszą? za co? my dear, nie rozumiem.

STEFA. Zrozumiesz, Anulka cię objaśni.

KRYSTA. Miss Anulka? no dobrze... ale... (*bierze jej głowę w dłoń i mówi półszepem*) uśmiechnij się i powiedz... moja Krzysieńko (*chwila ciszy*).

STEFA (*bardzo ciepło i bardzo miękko powtarza*) Moja Krzysieńko (*chwila ciszy*).

KRYSTA. Tak... tak... i głos podobny. (*zaczyna ją jej drgać powieki*).

KULINA (*podchodząc z boku, podejrzliwie*). Co to za prachtyki panna z Funią wyprawia, co? Tfy, tfy, tfy! na psa urok! Niechno Funia już idzie! Świecie boski! jak twardo urocy, to na wielką bidę! i stara Jagata nie poradzi... (*do Franka*) Czegoj się gapisz?

Noże nie poczyszczone! umykaj do kredensu! (*wypycha Franka, mrużąc i sama za nim wychodzi na końcu Stefa, od drzwi jeszcze serdeczny ukłon posyła Kryście*).

SCENA VII.

Anulka — Krysta.

KRYSTA (*siada na kanapie*). A więc, miss Anulko, proszę o objaśnienie: jaka jest przyczyna pewnych niejasności w zachowaniu się Stefy względem mnie? Odpowiesz mi szczerze, prawda?

ANULKA. Bardzo chętnie. Oto Stefa wróciła niedawno z Krakowa, gdzie bawiła parę miesięcy u naszej wspólnej kuzynki Wandy Zabielskiej, z domu Zdrojowskiej. Podczas tego pobytu zetknęła się z paczką bardzo młodych, skrajnie rozwichrzonych reformatorów, dała się porwać szumnym frazesom i przywiozła taki chaos myśli, takie pogmatwanie pojęć, że w żadnym kierunku nie można było dojść z nią do ładu. Nawet stryjenka, kobieta o wielkiem sercu i nieporównanym takcie, chwilami czuła się zupełnie bezsilną.

KRYSTA. Biedna Funia! No tak! Nie wiem jednak, co za związek może mieć tragedia jej młodej duszy ze mną?

ANULKA. Nieomal bezpośredni, droga pani Krysto; Stefa wyobraziła sobie bowiem, że ty, pani, jako amerykanka, urodzona i wychowana w atmosferze bezwzględnej wolności, z dyplomem doktorskim, musisz uosabiać... jakby to powiedzieć?... no „essencję nadczłowieczeństwa“ w kobiecie i, na tej podstawie liczyła, że znajdzie w tobie silne poparcie, na wszystkich punktach.

KRYSTA. O—o—biedna! Jakże się zawiodła!

ANULKA. Do pewnego stopnia, tak; a jednak zawód ten, był właśnie ową niespodzianką, za którą tak gorąco ci dziękowała.

KRYSTA. Nie rozumiem; za zawód dziękowała?

ANULKA (*z uśmiechem*). Tak, tak, dziękowała ci, gdyż przekonałaś ją sobą, że można doskonale pogodzić w człowieku-kobiecie, „człowieczeństwo“ z „kobiecością“.

KRYSTA. Ach tak!? No, to all right. Czy jednak Stefa nie będzie miała do mnie żalu za rozwianie jej młodocianych złudzeń?

ANULKA. Nie sądzę. Myślę nawet, że cię serdecznie pokocha.

KRYSTA. O—o—to jeszcze lepiej. No, a ten mój wróg? ku... ku?

ANULKA. Kulina?

KRYSTA. Jes, Kulina?



Chata łowicka, zdobiona malowaniem.

NIGDY!!!

26)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

— Tutaj przy pomocy córki naszego gospodarza, stolarza z profesji, wciągnęła córki rzemieślników do tej roboty.

— Ach jakże to nieładnie z waszej strony, że wciągacie pospolite osoby, a nas damy z towarzystwa nie powołałyście do tej akcji.

— Nie znamy nikogo z towarzystwa, zresztą, damy chyba najlepiej wiedzą, co trzeba czynić w tych niesłychanie przykrych dla kraju chwilach.

— Ach! — sarknęła pani Mokronowska, zagryzając mimowoli uróżowane usta.

Zła była, ale to tak zła, że nie znalazła nawet żadnego gryzącego dowcipu.

Opanowała się jednak i rzekła:

— Od tej chwili idziemy wszystkie pod waszą i waszej Anielki komendę, szyjemy zawzięcie dla wojska! — zawołała.

— Musisz, kochana cześnikowo, jutro zaraz oddać mi rezywitę, przyjsć z Anielką,

niech nam powie jak się to szycie odbywa! — dodała.

— Bardzo prosto — poczęła cześnikowa, ale generałowa jej przerwała:

— Niema gadania, przychodźcie jutro do mnie na Florjańską, znajdziecie towarzystwo. Każda z nas będzie uzbrojona w przybory do szycia.

— No, słowo, do jutra — dodała, biorąc za obie ręce cześnikową i całując ją w powietrzu.

Lecz dla pani Mokronowskiej był to dzień samych niespodzianek. Wychodząc od cześnikowej spotkała się z kapitanem Oszaćkim, którego postawa pełna żołnierskiej elegancji, mocno ją zainteresowała.

Było jedno mgnienie oka, że chciała wrócić, ażeby zaraz dowiedzieć się, co to za jegomość, którego również towarzystwo nie znało.

Nie wróciła się wszakże, tylko postanowiła:

— Jutro wybadam te parafianki, tak, parafianki, a knują coś pod naszym bokiem! — dodała.

Nazajutrz całe towarzystwo dam zebrało się u jenerałowej.

Mniej były strojne, z jakimś sztucznym skupieniem zasiadły w salonie, bawiąc się świeżo nabytym przyborem do szycia.

— Ależ się spóźniają! — szeptały.

Gdy weszła cześnikowa z córką wszystkie ciekawie im się przypatrywały.

Zaraz też jenerałowa po przywitaniu rzekła:

— Jesteśmy wszystkie uzbrojone w igły, czekamy tylko komendy naszego ślicznego wodza!

To mówiąc uścisnęła rękę zarumienionej Anielki.

— Panie nas nauczają, co mamy robić — prosiła któraś z pań.

Cześnikowa obejrzała się, spostrzegła dużo przyborów do szycia, począwszy od igieł, naparstków i nawetek*) od wielkich nożyc aż do miniaturowych, nie dostrzegła tylko żadnego materiału.

Na naleganie jenerałowej, żeby Anielka powiedziała co i jak mają szyc, ta z prostotą rzekła:

— Ale z czegoż szyc będziemy?

— Ach, prawda! zapomnieliśmy o płótnie! — zawołały damy z ironicznym uśmiechem.

— Poślę zaraz po takowe! — ozwała się gospodyni domu.

I poruszyła srebrnym dzwonkiem stojącym przed nią na stoliku.

Zjawił się służący.

— Zawołać pannę!

— Sądzę — ozwała się cześnikowa — iż najlepiej będzie, jeżeli szanowne panie po zakupieniu płótna polecą swoim pannom służącym, żeby skroiły jak najwięcej bielizny, a potem, jeżeli ich wola i ochota, szycy, ile się tylko da.

— Cest juste! (słusznie!) — rzekła pani Potocka.

— Ale dla czegoż ty kochana cześnikowo i zachwycająca twoja córka, nie chcecie nam w tem dopomódz? — spytała jenerałowa.

— Z największą przyjemnością stawimy się na żądanie szanownego towarzystwa, lecz dziś jest już późno, nim przyniosą płótno, upłynie przeszło godzina, a my musimy wracać do domu... dodała.

— Macie panie przyjęcie u siebie, czy inną wizytę? — spytała pani domu, świdrując przenikliwie oczyma cześnikową.

— Ani przyjęcia, ani wizyty nie mamy, ale rekonwalescenci potrzebują naszej obecności.

— Jakto rekonwalescenci? Czy prócz małżonka miałaś jeszcze kogo chorego, droga Honorciu? — pytała pani Mokronowska przysuwając się do cześnikowej poufale.

— Z mężem przybyło, z pola bitwy dwóch rannych.

— Aż dwóch. — przerwały zaciekawione damy.

— Tak, jeden z nich zmarł w Wielni, drugi wraz z nami przybył do Krakowa.

— Ach, to pewnie ten przystojny oficer, którego spotkałam, wychodząc od was! — indagowała pani Mokronowska.

— Prawdopodobnie.

— Bardzo przystojny, bardzo! — przerwała znów jenerałowa.

— Ależ on wygląda tak marsowo, że niktby nie podejrzewał, że jest rekonwalescentem! — mówiła dalej.

Cześnikowa uśmiechnęła się.

— Ale, któż to jest, kto? — pytała natarczywie jenerałowa.

— Kapitan Tadeusz Orszacki, dzielny bardzo wojak z pułku ks. Józefa i wielki jego ulubieniec! — odparła cześnikowa.

Na wzmiankę o ks. Józefie damy, które dotąd starały się rozgadać małomówną Anielkę i wyciągnąć z niej jakieś szczegóły o bytności jej na Krzysztoforach, jednogłośnie wykrzyknęły:

— Ach!

I zwróciły oczy i uszy w stronę rozmawiających.

Nie usłyszały jednak nic już więcej, cześnikowa bowiem skinąwszy na córkę, pożegnała towarzystwo.

(* Rodzaj wydłużonego pierścionka na piąty palec, dla ochronienia go od przerzynania nitką.

STANISŁAW BEŁZA

Przekł. z ang.
M. G.

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

25)

13)

Dzielnica ta — poświęcona handlowi, państwo to, podległe wyłącznej władzy Merkurego. Otoczona murami, jak forteca, o bramach, któreby kiedyś mogły być nawet dać odpór nieprzyjacielowi, pokryta była całym szeregiem sklepów, nad którymi tu i owdzie umieszczone kopuły przepuszczały do ich wnętrza mdłe światło.

Całe zaś to wnętrze było niczem innym, jak tylko jednym kolosalnym sklepem, sklepem ubrań, ozdób, broni, olejków wonnych, łakoci.

Czego tu nie było, czem tu nie handlowano, najlepiej przekonywują nazwy ulic, jakie przerzynały tę dzielnicę w najprzeróżniejszych kierunkach. Nazwy te przechowały się do dziś, choć przeważna ilość sklepów z przedmiotami, które je po obu stronach przepięniały, legła pod gruzami rozwalającej się budowli.

Zapiszmy niektóre z nich dla pamiątki, wąpimy bowiem bardzo, aby powstały kiedy w tem miejscu, w dawnej świetności.

Główna ulica, przecinająca ten Bazar na dwie połowy, była to ulica „Długa“, na którą schodzili się wszyscy, pragnący nabyć kosztowne szale perskie. Ulica ta, szeroka i powietrzna, przedłużała się w ulicę „chustek do nosa“, gdzie zgromadzane znowu były drobne przedmioty, przeważnie kobiecego ubrania. Więc różnokolorowe nakrycia głów, więc fartuchy, wyroby z jedwabiu i muślinu.

Do tych dwóch ulic, niby strumienia do długiej rzeki, od północy i południa wpadały węższe i krętsze, ale żadna z nich interesu pozbawioną nie była, gdyż na każdej spotkać się można było z czemś takim, co stanowiło jej wyłączną właściwość.

Mieliśmy więc tu „ulicę obuwia“, pełną trzewików, butów i jaskrawych pantofli, „ulicę księgarzy“, gdzie od góry do dołu stały większe i mniejsze, we wszystkich językach wschodniego świata książki; nieco zaś dalej spotykaliśmy się z ulicami „fezów“, „krawców“, „wytobów safianowych“, „luster“, „jubilerów“, „dywanów“ i „kosztownych kamieni“. A w środku tego labiryntu, od wędrówek po których nogi ustawały a w głowie się kręciło, wznosił się oddzielny budynek, na pozór nie mający z tym wielkim nic wspólnego, mały Bazar, słynny *Bezestan*, kram przeważnie wschodniej broni, wyrobów ze złota, srebra i porcelany. Jako dopełnienie tego, w wielu miejscach znajdowały się tu kawiarnie, a w dwóch restauracjach, greckiej i tureckiej, znużonych długim chodzeniem pokrzepiano wschodnimi i europejskimi potrawami i napojami.

Słowem wszystko, czego człowiek do materialnego życia potrzebował, znajdowało się w tym bazarze, i byle się tylko miało pieniądze w kieszeni, można było wejść do niego nagim i głodnym, a wyjść sytym i przyodzianym w najkosztowniejsze na świecie szaty.

Jak tu było do niedawna jeszcze, wczynie? dowodnie chce przekonać, niech przeczytają wiek opis Konstantynopola, z poprzedzającą gdzieś w nich trzęsienie ziemi, czasów; znajdzie tam tak wspaniałe a niezwykłe, że ujrawszy Ted wodnie pomyśli, iż z rzeczywistością nie może być one nic wspólnego! A przecież miały, były zpa- stością samą, kopją natury, nie zaś płoda, wy- wyobraźni, i jeżeli zarzucić im co można, dy- iż tę rzeczywistość ukazywały w całym p bogactwie, bez tych przecież blasków światła, do- jakie się na nią w Bazarze składały. Ale; nad i światła żaden na świecie opis oddać z do- nie jest w stanie.

„usta
Dziś tu inaczej, dziś gruzy piętrzą się opa- a ten wielki i jedyny, w swoim rodzaju, u-

nia Bazar — to jedna wielka, smutna i iem wam
Konstantynopol od najdawniejszych i pomoc wiedziały straszne trzęsienia ziemi, i z u statku, ich kilkanaście na swoich kartach. v samolot

Już za Justyniana, zapoznało się tu energia kłęską, gdy nagle ziemia poruszyła się na? Je- miejskach. A były to poruszenia tak gwałt? wno- wtarzały się w ciągu kilkunastu lat tak często, to- ledwie mieszkańcy odbudowali to, co im zamię zostało w ruiny, nadchodziło nowe, gwałtownie o wiele, i burzyło im wszystko, co z wielkim trua ponad ziemię wzniesli.

Po Justynianie, trzęsienia ziemi powtarzają się już co prawda, rzadziej, nawiedzają jednak ten uroczy zakątek ziemi bezustannie. — I tak, spotykamy się tu z nimi w wiekach: 7, 8, 9, 13, 14, 16 i 17 po razie, w wieku przecież 11, trzy razy, w wieku 18, aż pięć razy.

Od roku 1765 nastąpił na tym wulkanicznym gruncie głęboki spokój, i zdawało się, że nie zakłóci go już nic. Złudzenie! przyszedł rok 1863, i od 22 sierpnia do 6 listopada, ziemia tu drgała, jak gdyby wstrząsana konwulsjami.

Ale ostatnie trzęsienie ziemi, o wiele więcej dało się Konstantynopolowi we znaki, choć ograniczyło się względnie na niewielkiej przestrzeni, zburzyło to bowiem, co było jego niepospolitą osobliwością, a nawet i ozdobą: wielki Bazar.

Z przerażeniem opowiadał mi o tem mój przewodnik.

— „Znajdowałem się w moim mieszkaniu — oto jego słowa — gdy nagle wstrząsnęło coś mną z wielką siłą; nie wiedząc, co się ze mną stało, wybiegłem pośpiesznie na ulicę, sądząc bowiem, że doznałem zawrotu głowy, pragnąłem pokrzepić się świeżym powietrzem. Ale tu przyszło wstrząśnienie drugie, mocniejsze od pierwszego o wiele, a razem z niem straszna

PRZEBOJEM.

OBRAZEK Z NIEDAWNEJ PRZESZŁOŚCI

OPOWIEDZIAŁ

JÓZEF CIEMBRONIEWICZ 12)

W niedzielę można się było nagadać o swoich najeść do syta, przez cały bowiem tydzień trzeba się było oszczędzać z wiktem, bo nużby się co stało i w niedzielę nic nie nadeszło z domu! Znaczyli też chłopaczyska chleb dzieląc go na siedem części i biada żarłokowi, który nie przestrzegał porobionych na chlebie kresiek. Taki przekroczywszy budżet musiał pościć nieraz od piątku, chyba, że znalazł oszczędnego towarzysza, który go mógł wspomóc w niedoli i pożyczył mu do niedzieli chleba.

Jasiek nie miał matki. Prowianty zaczerpnięte ze spiżarni panny Marjanny przynosił mu ojciec. Panna Marjanna pamiętała o swym ulubieńcu i wymościła zawsze tobolek tak dobrze, że Maciej miał co dźwigać. Nierzadko też w tłumoczku znajdował się supełek z kilku szustakami, które to ks. Jański to Zdarski przesyłali Jaškowi na pióra i zeszyty. Czasem też i panna Marjanna przysłała mu grosz jaki i przykazywała, żeby kupił sobie mięsa, aby jak wróci na wieś ludzie nie powiedzieli, że schudł na plebańskim wikcie.

Jasiek jednak mięsa nie kupował. Otrzymywane prowianty wystarczały mu zupełnie, a pieniądze chował i po otrzymaniu każdej przesyłki pisał do Zdarskiego to do ks. Jańskiego i do p. Marjanny serdeczne listy z podziękowaniem. W listach zaznaczał, że nic mu nie potrzeba, a pisał tak, że listami tymi jeszcze bardziej podbijał serca swoich dobrodziei.

Raz na miesiąc zwykle w jarmark przywozili rodzice uczniom ziemniaki. Wtedy też pojawiał się regularnie Zdarski, przyjeżdżał plebańskimi końmi, aby zapłacić za stancję Jaška, oraz dowiedzieć się jak się uczy i sprawuje. Nasłuchawszy się pochwał z takim zadowoleniem jak gdyby to o jego własnego syna chodziło i załatwiwszy interesa prowadził Jaška do restauracji w której fundował mu dwie pary kiełbasek z musztardą, a następnie wracał do domu zadowolony, zdając księdzu Jańskiemu dokładną sprawę ze swej bytności w mieście. I cieszyli się starzy, że pupil im się udał, cieszyli się, że biedota wychodzi na ludzi.

Jak każdy uczeń oczekiwał Jasiek świąt i wakacji niecierpliwie, a oczekiwał nie dlatego, że nic nie będzie trzeba robić przez święta, nauki bowiem nie było mu nigdy za dużo, ale dlatego, że zobaczy swą rodzinną wioskę i nacieszy się rodzicielem i dobrodziejami.

Na święta po chłopskie dzieci zwykle nikt nie przyjeżdżał. Pakowali tłumoki, zbierali się całą gromadą i dalej w drogę!

Młode nogi wartko ich niosły, wesoła rozmowa, a nierzadko i ochocza śpiewka pełną piersią nucona skracała drogę, a razowiec niesiony w kieszeni i czysta woda ze źródła krzepiły na popasach.

Po drodze gromada rzedniała. Zostawiali ci co bliżej miasta mieszkali, a reszta wędrowała dalej, póki ostatni do swej chaty nie wszedł i nie ucałował ręki rodzicielom.

Gdy przechodzili przez wieś patrzyli za nimi i starzy i młodzi, a taka ochota jakaś i łuna biła od tych młokosów, że kiedy chórem krzyknęli: „Niech będzie pochwalony!“ to jaki taki odkrzykując: „Na wieki“ nie mógł się nie uśmiechnąć do tej bujnej młodości.

Święta miały jak z bicza trzask i znowu ci dalsi wracali, gromada powiększała się w miarę zbliżania się do miasta i wracano do przerwanych zajęć z tą samą prawie niefrasobliwą wesołością z jaką rwanosie na święta.

VII.

I płynął Jaškowi rok za rokiem.

Obojętnemu widzowi zdawałoby się mogło, że życie to było bardzo jednostajne, Jasiek jednak tegoby nie powiedział. Przeciwnie, zapytany twierdziłby, że prowadzi życie pełne różnaitości i wrażeń. I nic dziwnego. Młody tak łatwo ulega wrażeniom, tak łatwo interesuje się i przejmuje lada drobnostkami.

Pięć lat przyjeżdżał Jasiek rok co roku na wakacje, przywożąc świadectwo od dołu do góry celujące. Starzy czytając to świadectwo płakali, tręcali się w bok, a kiedy Jasiek szedł witać się z panną Marjanną stawali na przeciw siebie z rozpromienionymi twarzami:

— A co? — pytał z dumą Zdarski.

— A co? — powtarzał z przejęciem ks. Jański.

W drugiej klasie gimnazjalnej dostał Jasiek pierwszą lekcję. Marnie płacono, bo marnie, jakieś 1 złr. 50 ct. na miesiąc i podwieczorek i za to trzeba było po dwie, trzy godziny dziennie z idjotycznym chłopakiem, którego rodzice gwałtem wykierować chcieli na pana wykuwać lekcje. Ciężka była praca za lichą zapłatę, ale jakież Jasiek dumny był kiedy te pierwsze głową zapracowane pieniądze poczuł na dłoni. Zaraz napisał do Zdarskiego, że opłaci już sam sobie stancję i prosi, aby mu Zdarski więcej pieniędzy nie przysyłał. Poczciwego nauczyciela list ten strasznie zirytował. Pobiegł co żywo na plebanję.

— Masz! Czytaj co ten smyk pisze!

Ksiądz przeczytał list i powoli go złożył.

— No i czegoż się ty panie gorączkujesz? Poczciwy chłopczyzna nie chce, żebyś się ściągał dla niego, zarobił i zaraz cię zawiadamia!

— E, e! dureń jest i kwita. Co jemu do tego czy ja się ściągam czy nie! Powiedziałem, płacić będę przez cały czas za stancję i kwita!

— O, o! gorączka panie! złośnik! Chłopak ze sercem panie, a ten go zaraz od smyków, durniów! To panie nikt ci nie przeszkadza składać to co miałeś mu dawać na stancję i oddać chłopakowi, gdy skończy gimnazjum. Przyda mu się to panie, przyda!

Pomysł ten przypadł Zdarskiemu do gustu i udo-bruchał go zupełnie.



Ależ naturalnie; *Sikorko*, że przyjmę takiego szczeniowego ptaszka, tylko niech on nie będzie ptaszkiem sezonowym, lecz takim wiernym, stałym, dobrze?

Widzisz, *Sikorko* „Przyjaciółka“ wasza cieszy się, gdy jej nowe jakie pisklę przybywa, od razu darzy je sercem, myśli o niem, więc skoro później, pisklę takie przestaje się odzywać, lub rzadko głosik wydaje „Przyjaciółka“ smuci się i szczerze tęskni za niem.

Miło mi słyszeć, że tak ci się podobają moje odpowiedzi, mam więc nadzieję, że i rada, o którą prosisz, będzie przyjęta.

A więc, każda pensja, o ile sami pracujemy i staramy się korzystać jest dobrą, pożyteczną, dla dobrej, pracowitej uczenicy niema złej pensji, z każdej odnieść korzyść i dla byle drobnostki nie będzie uczelni zmieniała.

W każdym razie mogę polecić pensję p. Sierpińskiej, lub p. Sikorskiej, gdzie i program naukowy i kierunek moralny stoją wysoko i gdzie możesz powołać się na mnie. Proszę, dotrzymaj słowa i o wyniku egzaminów zawiadam mię, jak również o sposobie spędzania wakacji. Rozumie się, że „Wieczory“ wychodzą i podczas wakacji, bez przerwy żadnej, ani zmniejszania pisma w lecie niema.

Halinka dziękuje ci za pamięć i zasyła całusa.

Ogromnie ciekawy ostatni list twój *Mrozie*, a park swój z rzeką i ruiną tak barwnie opisałeś, że radabym to wszystko poznać i zobaczyć własnymi oczami, tembardziej, że nadzwyczaj mię interesują takie rzeczy, i od dzieciństwa z całym zapałem zwiedzałam różne lochy, podziemia, piwnice, dosłuchując się w nich ech przeszłości, szukając pamiątek i śladów historycznych.

Zagranicą, wszelkie pamiątkowe ruiny i zwaliska, otaczane są czcią, i starannie konserwowane, aby żadna cegielka z nich nie zginęła, aby przetrwały w jak najpóźniejsze wieki, jako piękny i bohaterki nieraz ślad przeszłości, u nas, niestety, dotąd jest inaczej: ręka ciemna, lub zła niweczy to, co winno być przechowywane, strzeżone i szanowane. Zaczyna się, co prawda, ruch, mający na celu pieczołowitość starych gmachów, ruin, pamiątek, ale nie objął on jeszcze całego kraju.

To też *Mrozie*, chłopcze kochany, otaczaj ty ze swej strony staranną pieczę, to wszystko, co historii, lub nauce wogóle służyć może. Zwracaj również baczną uwagę na legendy i podania miejscowe, zawarte bądź w klechdach, bądź w pieśniach ludowych i notuj je skrzętnie, nic wszakże nie dodając, nie ujmując, ani zmieniając, przysłużysz się tem kiedyś krajoznawstwu.

Dziękuję ci, dzielny mój zuchu, za miły twój list, za pamięć o Halince i braciszku mym Tadiusiu, który, dzięki Bogu, jest na wsi zdrowszy, żałuję tylko, że osobiste poznanie się nasze uległo zwłoce. Ja wrócę do Warszawy dopiero w październiku, ale korespondencji z wami nie przerwę, ani na jeden tydzień, chyba żeby listy od was nie dopisały: zanadto już związałam się z gromadką moją sercem i myślami, bym spójnię tę choć na krótko chciała przerywać.

Zycząc ci wesołego spędzenia wakacji, proszę o niezapominanie o „Przyjaciółce“, i spełnienie obietnicy odwiedzenia jej w Warszawie.

Zbłąkana Sarenka nie wie, kto to jest Halinka, a pragnie zabrać z nią bliższą znajomość, zdaje się, że to będzie trochę przytłaczające, zważywszy, że Halinka, jedyna moja córeczka, choć bardzo wesoła, wicznie rozśpiewana i jak mówi poetka:

„Cała w płasach i skokach“

liczy dopiero trzy latka, nie bardzo się więc nadaje za towarzystwo dla paniutki trzynastoletniej. Towarzystwa, niestety, ona nie ma, dawniej jeszcze, jak jej dwunastoletni wujek, Tazio był zdrowy, w wolnych od lekcji chwilach bawił się z nią, teraz bawi się sama, lub ze mną, a gdy się znajdzie w towarzystwie innych dzieci, z płaczem rozstaje się z niemi.

Ale dlaczego to *Sarenka* nic mi nie pisze o swej siostrzyczce Jadzi? A wiesz, dziewczeczko, że mię troszkę zasmuciła wiadomość, że nie możesz się z nią zgodzić — dlaczegoż to? Siostry powinny się zgadzać i kochać bardzo, bardzo... Pomyśl kochanko dobrze, zastanów się głęboko, poważnie, czy wina nie po twojej stronie... a gdy znajdziesz ją, przewycięż się, stań się dla siostry miłą, słodką, pełną serdecznych uczuć, a zobaczysz jakiej doznasz radości i jak siostra kochać cię będzie.

Wiesz Sarenko, ja nawet nie wierzę, by człowiek, niezgadający się z najbliższymi mógł później żyć w harmonji z innymi.

Motylek doskonale to rozumie, skoro pisze: „Wszędzie mi dobrze, bo wszyscy są dla mnie tacy dobrzy, ale najlepiej mi w domu, w otoczeniu sióstr i braci“.

Tak, mój miluchny *Motylku*, dom rodzinny jest najmiłszy i po Bogu, po ojczyźnie rodzinie swej winniśmy największą miłość, bo rodzina największem szczęściem nas darzy, najlepiej nam życzy i w każdej okoliczności życia jest dla nas ucieczką. Niedarmo to poeta powiedział:

„Ze wszystkich chatek najmiłsza chatka
Tam, gdzie nasz ojciec, gdzie nasza matka.“

Dobrzy są dalsi krewni, dobrzy przyjaciele i znajomi, ale rodzice i rodzeństwo są najlepsi i w żadnej chwili życia od nas się nie odwrócą, gdy tymczasem z przyjaciółmi i znajomymi bywa w życiu różnie.

Winszuję ci *Motylku* zbiorów entomologicznych, a że nie są obfite, nic dziwnego, wszakże lato ledwie połowy dobiega i piękne bardzo okazy znajdziesz i później. Doskonałą masz myśl ofiarowania tej kolekcji Muzeum Warszawskiemu, będzie ci ono za to wdzięczne.

Strach (Co znowu, cóż za strach?) irytuje się z powodu ciągłej niepogody i dokuczliwych much, a wszakże gniew nic tu nie pomoże, i wogóle nie przystoi mężczyźnie, którego właśnie powinien cechować spokój wobec wielkich nieszczęść, a obojętność na małe przykrości; inaczej nie jest on prawdziwym mężczyzną, lech mazgajem. Wiem, *Strachu*, że nie jesteś tym mazgajem, to też nie zamęczaj panny Felicji, ani nie pozwalaj sobie na żadne nudy, bo nudzić może się tylko próżniak, nigdy człowiek myślący i pracowity; z muchami zaś wojuj, jak możesz, tęp je, istnieje na nie mnóstwo sposobów, tylko broń Boże, nie bądź okrutnym, nie męcz ich, lecz wynajduj środki zabijające odrazu; pamiętaj, że i mucha czuje ból i cierpi, niegodziwością więc byłoby cierpienie żyjącego tworów powiększać.

Kiedy powróci pogoda, a z nią dobry humor, napisz do

Przyjaciółki.

Ofiary na ochronkę „Wieczorów Rodzinnych“
Od Mroza i Makolągwy z Sawanec rb. 1,75 kop.

Rozmaitości.

Dziwaczna rozprawa.

Głośną swojego czasu była w Niemczech opowieść o nieporozumieniach ciągłych między dwoma ludźmi znakomitymi, każdy w swoim zakresie. Żelazny kanelerz, ks. Bismarck syt był sławy i zaszczytów, ale mało miał, jak wiadomo, przyjaciół, zwłaszcza w świecie pracy umysłowej, niezależnej. Za niepospolitego uczonego na polu bakteriologii i medycyny uważano zawsze dr. Virhowa; otóż te wybitne osobistości znosić się nie mogły. Doktor szczególniej dukiem i słowem napastował wprost Bismarcka, potępiał jego czyny, butę i bezwzględność. Sprzykrzyło się to nareszcie wielkiemu panu i wyzwiał wroga na pojedynek. Gdy sekundanci kanclerza przyszli do pracowni Virhowa, tenże przyjął ich grzecznie, ale z jakąś miną zagadkową i odezwał się na wstępie:

— Szanowni panowie, wielki to dla mnie honor rozprawić się z tak sławnym człowiekiem, ale ponieważ nie jestem żołnierzem i bronią robić nie potrafię, przedstawiam inny rodzaj pojedynku. Oto są piękne kielbasy, przysłane właśnie do mojej oceny: jedna z trychinami, druga bez zarzutu. Którąkolwiek książkę dla siebie wybierze, ja natychmiast spożyję pozostałą.

Podobno ta żartobliwa propozycja wpłynęła na zgodę nieprzejeđnanych. Nawet niemiecki, gruby dowcip przeważać szalę wypadków może.

Trzęsienie ziemi w Kalabrii.

Południowe prowincje Włoch corocznie są nawiedzane przez tego rodzaju katastrofy. Ostatnia sprawiła większe spustoszenia, niż na razie sądzono; okręgi: Radione i Gravina mają ofiary w ludziach, sioła zrównane z ziemią, osady w gruzach. Wysłani na pomoc żołnierze gorliwie zajęli się ratunkiem mieszkańców; ci, których z pod zwalisk wydobyto, ciężkiemu ulegną kalectwu.

Szarady i łamigłówek.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Ułożył Wróbel z nad Wisły.

Z następujących sylab ułożyć 7 wyrazów, którychby początkowe i końcowe litery złożyły imiona dwóch polskich królów.

SYLABY: al, a, bral, do, dyt, dya, fry, gi, ir, ja, kob, ka, lo, lan, mar, na, ryb, tar, wie.

ZNACZENIE WYRAZÓW:

1. Patryarcha izraelski.
2. Imię żony Kazimierza wielkiego.
3. Hist. kronikarz królów polskich ur. w Saksonji 976—1018.
4. Zwierzę ssące morskie.
5. Wielka wyspa na oceanie Atlantyckim.
6. Twierdza w Hiszpanji.
7. Część świata.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej, zam. w No 25.

1. Jeremi.
2. Giermek.
3. Nos.
4. Astrachań.
5. Czerkiesi.
6. Yankes.
7. Parana.
8. Anna.
9. Dołek.
10. Efekt.
11. Ren.
12. E u.
13. Wagram.
14. Sarkofag.
15. Kalasanty.
16. Izyz.

WESOŁY KĄCIK.

PO RATE.



Żyd. — Oj panie dziedzicu ten pies tak na mnie nie dobrze patrzy. On jeszcze mnie ugryzie.

Dziedzic. — Bądźcie spokojni! On gryzie wtedy tylko, gdy kto mówi o pieniądzech.

P O C H W A Ł A.

W jednej winiarni w Strasburgu dwóch mieszczuchów rozmawia o ostatnich wypadkach dnia.

— Jednakże cesarz niemiecki umie być taktownym; najgrzeczniejszy człowiek w Prusach.

— No, nareszcie oddałeś mu należną sprawiedliwość.

— Tak. Spieszno mu było do zobaczenia Alzacji, ale jeszcze prędzej z niej wyjechał.

Z KATARU.



— A ty szelmo, kładziesz mi rękę do kieszeni.

— Chciałem sobie pożyczyć od pana chustki do nosa, bo mam okropny katar.



Nauczyciel. — Dostałeś rano 9 gruszek i jeżeli zjesz z tych gruszek 3, to ile ci jeszcze pozostanie.

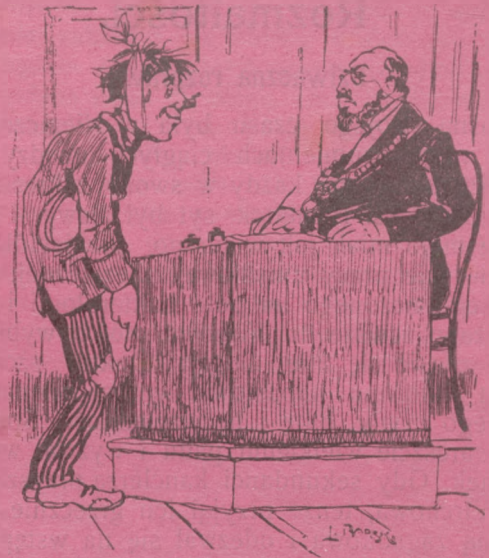
Chłopiec. — 3 panie profesorze.

Nauczyciel. — Dlaczego tylko 3?

Chłopiec. — A bo mi zaraz zjadł z tych gruszek 3 Franek Wojtkowej.

W CUKIERNI.

— Nie wezmę tej babki; zanadto stara. To pewno musi być jakaś prababka.



Sędzia. — Jesteście oskarżeni o kradzież palta z przedpokoju u dentysty do którego udawaliście się o poradę.

Oskarżony. — Panie sędzio byłem wtedy tak cierpiący na ból zębów, że nie przypominam sobie nawet co robiłem.



ZNANE ZE SWEJ DOBROCI
OBUWIE DAMSKIE, MĘZKIE I DZIECIĘCE
poleca w swych Magazynach

Szenc Władysław Dobrzyński

w Warszawie, Chmielna 18, tel. 187-80.

Złota 28, tel. 142-20.

ROCZNIKI
„WIECZORÓW RODZINNYCH“
Z ROKU 1912.

Do nabycia w księgarni „Po'aka-Katolika“
Krakowskie-Przedmieście 64.

Bez oprawy rb. 4. =====

===== W gustownej oprawie rb. 5.

WAŻNE DLA MŁODZIEŻY!

NA FORTEPIANIE, SKRZYPCACH, CYTRZE,
GITARZE I MANDOLINIE,
uczę gruntownie i tanio.

Złota 26, m. 39.

!!!NA WARSZAWĘ I PROWINCJĘ!!!

Chrześcijańskie przedsiębiorstwo przebudowy i odnawiania domów, lokali, sklepów i t. p. na rozpłaty po cenach niepraktykowanie niskich. Roboty malarskie od najprostszych do najwykwintniejszych, wielki wybór tapet. Ceny fabryczne.

Ratowski i S-ka, Nowy-Swiat 24, tel. 263-64

PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA
NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK
JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne.

LALKI ubrane w wielkim wyborze.

LALKI w narodowych kostjumach.

LALKI z nietłukącymi się, pięknymi główkami.

LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacji lnu.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE

Części zapasowe oraz farba, guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.